

O wieżach z kości słoniowej i ich mieszkańcach

Ilekcję słyszę słowo „elita”, tylekroć pamięć zbrojna doświadczeniem, nie zawsze miłym, podsuwa mi symbol wieży z kości słoniowej zamieszkałej przez Narcyza. Ścisłej mówiąc całej osady takich wież, symboli miłości do siebie ukształtowanej na fundamencie pogardy wobec innych. Pogardy nie tylko wobec prymitywnego „motłochu”, na który wieża pozwala nam lekceważąco patrzeć z góry. Także wobec swych sąsiadów bezpodstawnie pretendujących do miana elity. Jakże ich bowiem nie lekceważyć, gdy w swym zaślepieniu są przekonani o swej wyjątkowej urodzie, a ich naiwność i głupota każą wierzyć, że przebywają w wieży zbudowanej ze szlachetnego tworzywa, podczas gdy – jak powszednie wiadomo – mieszkają w tandetnych podróbkach, jako że tylko moja jest zbudowana z prawdziwych szlachetnych ciosów słońca!

Na potwierdzenie tej zarysowanej obrazowo tezy wywołam z bagażu wspomnień kilka scenek.

Obraz 1.

Początek lat 70. Mieszkając w Warszawie, zdarzyło mi się współpracować z telewizyjnym programem dla dzieci i młodzieży, gdzie prowadziłem audycję pod tytułem *Sekretarzyk rodzinny*. Byłem przekonany o dużych pedagogicznych walorach skierowania uwagi pokolenia nastolatków na dzieje ich rodów i docierałem do rodzin kultywujących tego

typu tradycje. Jako wielbiciel twórczości Melchiora Wańkowicza, którego umieszczałem w czołówce świata polskiej literatury, znalazłem w którejś z jego książek wspomnienie o gazecie rodzinnej, jaką jego córki wydawały raz w roku na Boże Narodzenie. Dotarłem do pisarza z ekipą filmową i nagraliśmy jego wypowiedź na ten temat. Po zrealizowaniu zadania gospodarz podjął nas kawą. W czasie pogawędki mój niedościgły mistrz pióra, w którego dziełach podziwiałem sztukę wnikliwego i wszechstronnego rozpatrywania postaw bohaterów jego reportaży, wyrażaną w pięknej polszczyźnie, wprowadził mnie w osłupienie, dając wyraz swemu głębokiemu przeświadczeniu zamieszkiwania w jedynie prawdziwej wieży samouwieblenia w stopniu, z jakim dotąd się nie spotkałem. Nasz gospodarz z jej wyżyn z rozbrajającą bezpośredniością cały ówczesny literacki parnas Warszawy scharakteryzował z największym lekceważeniem i pogardą, odwołując się do najbardziej prostackich określeń. Jako niepoprawny naiwniak z prowincji, wciąż patrzący na świat w różowych okularach idealisty zostałem powalony i zdruzgotany! Po powrocie do równowagi i po przetrawieniu zaserwowanej duchowej stawy, doświadczenie z panem Melchiorom w skrytce mej pamięci ulokowałem obok niedawnych doznań wyniesionych z elitarnego środowiska uczonych pedagogów pewnej uczelni z innego miasta, gdzie środkiem konsolidacji badawczego zespołu była

totalna negacja, lekceważenie i kpina z twórców teorii konkurencyjnych. Oba światy oddzielał od siebie tylko język. Naukowcy używali innej, bardziej wysublimowanej gamy epitetów. Pisarz – jak przystało na rasowego reportera – dał wyraz znajomości bogactwa języka naszego ludu kochającego walić mięsem między oczy. Dziś próbki tego stylu ujawniają przecieki nagrań służb specjalnych, w całym majestacie prawa podsłuchiwanej elity naszych polityków.

Obraz 2.

Ryszard Peryt, jeden z filarów moich zielonogórskich Makusynów, późniejszy reżyser wszystkich oper Wolfganga Amadeusza Mozarta wystawianych w Warszawie, po ukończeniu szkoły teatralnej z grupą koleżanek i kolegów wyjechał do Puław, gdzie w domu kultury tamtejszych zakładów chemicznych założyli eksperymentalny teatr. Projekt spotkał się z życzliwym zainteresowaniem prasy i do Puław zaczęli przyjeżdżać nie tylko recenzenci teatralni z redakcji licznych czasopism, ale także autokary rozbudzonej artystycznie młodzieży. Peryt przysłał mi zaproszenie na premierę jednej z reżyserowanej przez niego sztuk i wybrałem się do Puław. Po premierze w mieszkaniu naszego dzielnego i ambitnego twórcy spotkałem się z liczną grupą gości, których gospodarz mi przedstawił jako elitę warszawskiej młodzieży katolickiej. Oczekiwałem, że ten kwiat młodych intelektualistów stolicy oczaruje mnie subtelną analizą problemów, jakie niosło dopiero co obejrzane dzieło Ryśka i jego grupy. Gdzie tam! Nie to ich interesowało. Z pasją rozprawiano wyłącznie o polityce. Z ust elity popłynęła rzeka najbardziej prymitywnych czarno-białych ocen aktualnej sytuacji przypominających mi słyszane na „falach eteru” polskiego radia na przelocie lat czterdziestych-pięćdziesiątych felietony – agitki autorstwa słynnej Wandy Odolskiej. Oczywiście z odwróconymi znakami. Niczym pan Melchior zaprezentowali swą miłość siebie, zionąc pogardą do innych w stopniu, który nijak nie mieścił mi się w głowie z pojęciem „elity młodzieży katolickiej”. Z ich ust i gestów zionęło przyprawione nienawiścią szyderstwo i wrogość do myślących tak, jak ja. Sterroryzowany klimatem rozmowy nie odważyłem się nawet odezwać. Po raz kolejny słowo „elita” zderżyło się w mej jednostkowej świadomości z doznaniem bardzo przykrego zaskoczenia.

Obraz 3.

Po moim powrocie do Witnicy spotkałem kolegę z witnickiego gimnazjum, jakie istniało tu w latach 1945-1948. W wyborze życiowych dróg, stojąc wobec alternatywy „być czy mieć”, wybrał to drugie. Jako producent przetworów warzywnych zaliczany był do elity ekonomicznej miasteczka. Zbudował sobie wieżę z kości słoniowej w postaci willi z marmurowymi schodami i z jej piętra ocenił mnie w kategoriach godnego politowania życiowego bankruta, do którego słowo elita pasuje jak pięść do nosa: „I czego się dorobiłeś? Straciłeś życie! Jesteś nikim”.

Skłonny jestem sądzić, że sedno problemu elit tkwi w tym, że zarówno ja, jak i wręcz każdy inny mieszkaniec mojego miasteczka uważa się także za mieszkańca takiej wieży. Czujemy się członkami śmietanki towarzyskiej swego światka. Światka ludzi nam bliskich.

Każdy więc ma prawo do celebrowania swej godności i z tego prawa korzysta. Nawet pan Kufelski stojący od rana z kolegami pod sklepem z prawem wyszynku, zarówno ze względu na swoją ponadprzeciętną siłą głowę, jak i przejawianą zaradność w zdobywaniu środków, w swym środowisku zaliczany jest do elity.

A ja zaliczam się w mych oczach do elity inteligentnej mojej Witnicy. Mogę to nawet udowodnić „czarno na białym” stosownymi dokumentami! Mam jednak pełną świadomość tego, że poza niewielką grupą koleżanek i kolegów doceniających moje poczynania, jest w mieście grupa inteligentów, których to, co robię, w ogóle nie interesuje, a u innych wywołuje wzruszenie ramion. Funkcjonują w innych strukturach życia lokalnego i co innego jest dla nich wartością.

Tak więc gdy zaliczamy się sami do kategorii elity, jakże często przekonani o swej wyższości wobec innych, skłonni jesteśmy patrzeć na pozostałych z poczuciem w najlepszym wypadku tolerowania, jeśli nie lekceważenia ich zachowań, a gdy spadnie z nas maska bon tonu i damy upust naszym zachowaniom spontanicznym, obdarzamy ich uczuciem mniej czy bardziej dosadnie wyartykułowanego traktowania *per nogam*, według wzoru zaprezentowanego przez Lecha Wałęsę w znanej telewizyjnej debacie z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Wspomnienie z Zielonej Góry z lat 60.: idę ulicami miasta z redaktorem Leszkiem Zielińskim. Po drodze

dostrzegam leżącego w rynsztoku kłozarda, na którego zareagowałem żywiotowo: „Zeszmacyony pijaczyna”. Leszek przystanął i skierowawszy na mnie ostre spojrzenie, odparł, silnie akcentując słowa: „Tu nie leży zeszmacyony pijaczyna. Tu leży człowiek”. To była bardzo ważna lekcja. Pamięć tego zdarzenia utrwaliła się we mnie na całe dalsze życie, nabierając rangi swoistego punktu odniesienia ilekroć nachodzi mnie ochota łatwego ferowania ocen zachowań bliźnich. Wyjaśnia także tonację i akcenty występujące w tym tekście.

Dlatego nie lubię słowa elita. Ma ono dla mnie posmak samouwielenia i chorobliwej miłości własnej. Traktuję je w kategoriach pofeudalnej czkawki. Ludzie zaliczający siebie do tej grupy zazwyczaj uchodzą w swych oczach za współczesnych jaśnie wielmożnych: arystokratów ducha i intelektu. W ich jaśniepańskim stosunku do swego otoczenia ukrywa się postawa łatwego, dyktatorskiego, autorytarnego narzucania innym swych wartości, gustów, ocen i poglądów. Postawa ideowo ubrana w szlachetnie brzmiące deklaracje szczerości i odwagi mówienia prawdy. Bo taki jestem szczerzy, że co w głowie, to na języku! Bo prawda jest oczywiście po mojej stronie.

Rozwój cywilizacji technicznej spycha na margines społecznoego życia inteligencję z jej snem o potęgde jako elity i sumienia milionów, o których rząd ongi wznosiła modły. Póki żywe były wzorce feudalizmu z jego uporządkowanym hierarchicznie społecznym światem, poczucie zajmowania swego miejsca w szeregu było respektowane. Dziś szlachcicem na zagrodzie równym wojewodzie jest każdy potencjalny wyborca i płatnik podatków. Wolę więc w opisie omawianego zjawiska w miejsce wartościującego pojęcia elity, w którym tylko o krok od odrzucenia i pogardy wobec tych, którzy się nie załapali na przydziały mieszkań w wieżach z kości słońskiej, posłużyć się opisową kategorią merytorycznego, duchowego czy ideowego przywództwa. Albo odwoływać się do określenia „osoba znacząca” w swym środowisku. Przywództwa z jego dynamizmem wzrostu i upadku. Przywództwa występującego na różnych poziomach grup społecznych: środowiskowych, lokalnych, regionalnych, krajowych, kontynentalnych. Przywództwa niedającego jednak prawa do lekceważenia innych z tytułu przyznanego sobie, wywalczonego czy nadanego miana olimpijczyka, lub przewodzenia grupie statystycznie większej. Tak jak to na przykład ma

miejsce w trwającym sporze o prawo zawieszania krzyży w szkołach publicznych, kiedy katolicy powołując na to, że stanowią większość, narzucają innowiercom swą wolę. W imię współczesnego pojmowania kategorii godności ludzkiej i praw każdego człowieka, wszelką próbę hierarchizowania tego przywództwa, które dawałoby prawo lekceważenia lub pogardzania innymi dlatego, że reprezentują poziom niższy, uważam za zło.

Odnoszę także wrażenie, że nadchodzące czasy wymuszają na dotychczasowych mieszkańcach wież z kości słońskiej zejście z nich na ziemię. Zejście, by – odwołując się do wspomnianej terminologii geodezyjnej – w miejsce sytemu osnowy wysokościowej jako paradygmatu opisu rzeczywistości i znalezienia sobie w niej miejsca na miarę przejawianych aspiracji, przetrzucić się na system osnowy poziomej. Pozwoli to na zmniejszenie dystansu wobec innych. Dystansu tak sprzyjającego demonizacji czy pomniejszania partnera interakcji czy uczestnika sporu. Zejście na ziemię sprzyja zdystansowaniu się wobec swych poglądów i czynów, co uważam za podstawowy mechanizm procesu ucztowieczania siebie.

W mym długim życiu nauczyciela i mieszkańca „prowincji” nauczyłem się patrzeć i opisywać otaczający mnie świat przede wszystkim w perspektywie żabiej, w schemacie poznawczym znaków zbliżonych do owej geodezyjnej struktury poziomej. Nie rezygnując jednak z tego, by od czasu do czasu dla zachowania proporcji spojrzeć na moich uczniów i sąsiadów bliższych i dalszych także z perspektywy wieży naszego kościoła czy nawet z okna samolotu. I ta perspektywa nakazuje mi, bym „narcyzów” wziął w obronę.

Kiedyś oburzał mnie ich horyzont myślowy ograniczony tylko do własnej rodziny i ogrodzonej płotem ich zagrody i zupełnej obojętności na to, co za tym płotem się dzieje. Po latach mogłem stwierdzić, że ich dzieci w szkole były zadbane i dobrze sobie radziły z nauką. Mogłem stwierdzić także, iż ich wypielęgnowane samolubnym egoizmem chaty układają się w szereg zadbanych ulic będących dumą miasta.

Moja ich obrona dotyczy także problemu poszukiwania odpowiedzi na pytanie: kto komu daje prawo przybijania innym „stempelka na łeb” z piosenki Bułata Okudżawy z piętnem samolubów czy tępaków? Kto komu daje prawo podczas dyskusji

używania kategoriycznego, pełnego pychy zwrotu należnemu Wszechwiedzącemu w brzmieniu: „masz rację” zamiast „podzielał twój punkt widzenia” czy *vice versa*?

Nie mam więc w tych sprawach tyle pewności siebie, ile mieli i mają nasi poeci, duchowni czy politycy wyrokujący tak łatwo i tak lekko miotający gromami potępienia. Może jest to wynik mego „zamroczenia” starczym wiekiem? Z punktu widzenia poety, w jego rozumieniu tego słowa bez wątplenia tak. Ja jednak wolę to nazwać zamroczeniem wyniesionym z doznanych lekcji. Zamroczeniem, które przystoi starości jako przejaw życiowej mądrości wyniesionej z doświadczenia epoki, w której tak dużo mieli do powiedzenia apostołowie jedynych prawd formułowanych przez elity kolejnych artystycznych mód, naukowych paradygmatów czy politycznych doktryn.

Jeżeli już mam mówić o swoim zamroczeniu, rozumianym jako stan mych obecnych poglądów i przejawianych życiowych postaw, to było to zamroczenie darem natury w postaci predyspozycji lub ich braku. Zamroczenie wzorcami kultury, w której się ukształtowałem, osobowością i poglądami ludzi, których uznałem za moje autorytety. Było to zamroczenie pokoleniowymi doświadczeniami, wśród których był między innymi rok 1939 i rok 1945. Były lata 1950, 1956, 1968 i 1989. Mogę powiedzieć także, iż zamroczył mnie Tadeusz Kotarbiński swą pochwałą filozoficznego relatywizmu – gwaranta dystansu wobec siebie. Dystansu spełniającego funkcję szczepienia ochronnego przeciw dyktaturze brzemiennej zbrodnią i terrorem jedynych wykładni

dobra, prawdy i piękna, których głoszenie prawem kaduka, prawem osobistej samowoli lub samowoli grupy odniesienia, elity sobie przyznawały. Gdy zatem zastąpię słowo elita pojęciem przewodzenia grupie zwolenników, wyznawców czy fanów, wtedy wobec łatwej weryfikacji tej kategorii pryska balon Narcyza z wieży z kości słoniowej, któremu do życia niepotrzebni są inni, by mógł prawdy o sobie szukać w ich oczach. Wystarczy lustro.

Więc z „wyżyn” tego starczego zamroczenia mogę już nie z pogardą i nie z lekceważeniem, ale z pobłażliwością zabarwioną dozą smutku, że tak już być musi, bo „świat już od dawna taki wszak”, pokiwać głową, gdy patrzę, jak nowe pokolenie młodych gniewnych wspina się na ową wieżę z apartamentami zarezerwowanymi dla świata elit, z basenem umożliwiającym pławienie się w rozkoszy samouwielbienia, z kluczem do sejfu wszechwiedzy i władzy miotania gromami potępienia. Smutku, że przez to, jak przez dziecięcą chorobę – odrę, każdy ambitny człowiek musi przejść.

Problem tylko w tym, by w niej nie zwapniał i w porę z niej czmychnął, rezygnując z funkcjonowania w systemie sieci osnowy wysokościowej, by na stałe umiejscowić się w strukturze osnowy poziomej. Wśród ludzi. Poskramiając w sobie tak głęboko tkwiącą w pokładach miłości własnej pogardę do innych. By miłość siebie harmonijnie połączyć nie z ideami, w imię których tak wielu tak łatwo skłonnych jest traktować innych w kategoriach środków, ale by tę miłość siebie zespolić z dobrem swej grupy. Oby nie pasozyticznej.